

— On nie miał wcale zamiaru być niegrzecznym — ciągnęła dalej — nie! Przeciwnie, to bardzo grzeczny i miły chłopiec, tak serdecznie dziękował za książki i papierosy, które mu przyniosłam. Tylko on tak się już wyraża i to jest niesłychanie zabawne. Na przykład w mojej obecności pyta go jeden z kolegów o jakąś znajomą, a mój zuch krakowski odpowiada: „Cóż to ja mam znać wszystkie baby stare i młode w Krakowie? A do chrzantu mi potrzebne!” Uśmiełam się serdecznie... Nie przypuszczałam nigdy, aby wśród ludzi z niższych sfer można było spotkać takie ciekawe typy... Rozmawiałam na przykład z pewnym starszym już Legionistą, z zawodu majstrem szewskim... Kiedy wybuchła wojna, zamknął warsztat i razem ze synem swoim, piętnastoletnim chłopcem, poszedł do Legionów... Skarżył się gorzko, że żona jego ciężką ma teraz dolę w barakach chocińskich... Ale, Anielko, co tobie? Ty przecież wcale nie słuchasz tego, co do ciebie mówię!... I jak ty dziwnie wyglądasz? Czyś ty czasem nie chora, moje dziecko?!

Anielka rzeczywiście wyglądała i zachowywała się zupełnie inaczej, niż zwykle. Na policzkach miała wypieki, usta spalone, jakby gorączką, oczy jej świeciły jakimś niezwykłym blaskiem... Spoglądała, jakby nawpół przytomnie, uśmiechała się wtedy, kiedy nie było do tego żadnego powodu i popełniała przy stole cały szereg roztargnień... Sypała cukier do zupy, soliła kompot, nalewała wody do pełnej już szklanki.

— Anielko! — zawołała ciotka z przestrachem, widząc, że siostrzenica kraje sobie trzecią kromkę chleba, chociaż dwóch poprzednich nie tknęła. — Co ty wyrabiasz, co ci jest?! Mówże coś...

Anielka drgnęła i przesunęła ręką po rozpalonym czole, jakby budząc się ze snu...

— Co mi jest... Nic... nic... przepraszam ciocię... to jest właściwie... głowa mnie boli trochę...

— Poślę po doktora!

— Nie trzeba, ciociu, nie, to przejdzie, to takie chwilowe zmęczenie, nic więcej...

— Naturalnie zamęczasz się tymi dyżurami i lekcyami w ochronce... Połóżże się zaraz i prześpij się trochę...

— Dobrze, ciociu... istotnie czuję się senna... Czy mogę już wstać od stołu... nie mam apetytu...

— Ależ idź, moja maleńka, połóż się, odpocznij... Może chcesz aspiryny?...

— Dziękuję, ciociu, nie będę zażywała żadnych proszków. To przejdzie samo...

Anielka pobiegła spiesząc do swego pokoju i rzuciła się na sofę, tuląc rozpaloną twarz do chłodnego jedwabiu poduszki.

Każda żyłka w niej drżała oczekiwaniem, serce na przemian ścisnęło się trwożnym, złem przecuciem, to znów rozszerzało radosną, promienną nadzieją...

Montwiłł przyniósł jej dzisiaj wiadomość, że otrzymał list, w którym jakiś porucznik Krzycki prosi go, aby się zgłosił do niego do szpitala, jeżeli się chce czegoś dowiedzieć o Kazimierzu Walczaku...

— Widocznie przeczytał ogłoszenie — kończył Montwiłł.

— Panie Stanisławie — błagała Anielka — niech pan tam idzie zaraz, dzisiaj jeszcze. O, gdybym ja sama iść mogła... Pan nie wie, co znaczy taka trwoga, niepewność, oczekiwanie...

Montwiłł przyrzekł, że pójdzie bezzwłocznie do porucznika Krzyckiego...

Anielka zerwała się z sofki, spojrzała na zegarek i nerwowo zaczęła poprawiać włosy... Było już trzy kwadranse na trzecią, a o trzeciej miała się spotkać z Montwiłłem koło Rudolfinum.

— — — — —

Kiedy pani Krystyna powróciła do domu po godzinie ósmej wieczorem, zdziwiła ją ciemność i cisza, panująca w całym mieszkaniu.

Czyżby Anielka nie przyszła jeszcze?

— Czy pani nie ma w domu? — zapytała otwierając jej drzwi Wikcia.

— Owszem, jest, nawet dawno — odpowiedziała dziewczyna. — Tylko, proszę pani, panience to chyba się coś stało...

— Jakto?! Co ty mówisz?! Stało się coś...

— To było tak, proszę pani — opowiadała Wikcia, a oczy płonęły jej ciekawością. — Ten wysoki młody pan, blondyn, odprowadził panienkę aż na górę... Panienka była bardzo błąda i ledwie mogła utrzymać się na nogach... Pytałam, czy panience trzeba wody albo wina, czy może pójść po doktora, ale panienka tylko mi ręką pokazała, że niczego nie chce... Poszła do swojego pokoju, światła nie zaświeciła... Ja bałam się wchodzić, żeby się panienka na mnie nie gniewała...

Wikcia chciała mówić coś więcej jeszcze, ale

pani Krystyna nie słuchała już. Przerazona pobiegła do pokoju siostrzenicy, nie zdejmując nawet okrycia i kapelusza.

Otworzyła drzwi. W pokoju było ciemno i cicho. — Anielko, czy ty tu jesteś? Śpisz?

Żadnej odpowiedzi.

Pani Krystyna pospiesznie zaświeciła światło elektryczne. Zobaczyła leżącą nieruchomo na sofie Anielkę z twarzą zakrytą rękami. Pierś dziewczyny wznosiła się oddechem nierównym, urywanym, jak gdyby tłumionym łkaniem.

— Anielko, co tobie?!

Anielka nie odpowiadała. Pani Krystyna rzuciła się ku siostrzenicy i ujęła ją za rękę, odstawiając jej twarz. Przeraziła się, kiedy zobaczyła te śliczne rysy dziewczęce stężałe, ściągnięte w jakimś przegromnym bólu.

— Anielko, na miłość Boską! Mów, co się stało, co ci jest?!

Spojrzenie pani Krystyny błdziło po pokoju, jak gdyby szukając rozwiązania tej zagadki i padło na leżące na stoliku przedmioty: fotografię, list i pierścionek.

Pani Wolska spojrzała na fotografię: Anielka! Obróciła fotografię i zobaczyła podpis: „Kazkowi Anielka”.

I pierścionek z perełką poznała ciotka, była to pamiątka Anielki po matce. Sięgnęła wreszcie po list i przebiegła oczyma pożegnalne słowa Kazimierza dla Anielki.

Zrozumiała. Bezmiernie współczucie dla siostrzenicy ogarnęło jej serce. Zapomniała w tej chwili, że Anielka postąpiła wbrew jej woli, zlekceważyła wyraźny zakaz, widziała tylko to jedno, że ukochane dziewczę strasznie cierpi.

— Dziecino moja biedna!

Pani Krystyna przytuliła siostrzenicę do piersi. Pod wpływem tego serdecznego, miękkiego, macierzyńskiego uścisku zelała żelazna obręcz, gniotąca gardło i serce Anielki i z piersi dziewczyny wydobyło się gwałtowne, rozdzierające szlochanie.

— Ciociu, on nie żyje, nie żyje! Ja go już nigdy nie zobaczę... Czytaj to, rozumiesz, nigdy!... O mnie myślał przed śmiercią, mój święty, mój najdroższy!...

Po twarzy pani Krystyny płynęły łzy, mieszając się ze łzami Anielki.

Dziewczyna jęczała...

— Zabili go!... Już go nie zobaczę!... O jaka wojna jest straszna, jaka straszna...

— — — — —

Dziwnie jakoś, obco, nieswojo czuł się Jan Krzycki, kiedy po raz pierwszy wyszedł ze szpitala na miasto.

Jakby zdziwiony obserwował żywy ruch uliczny, spoglądał na strojne kobiety, na panów w lśniących cylindrach, na różowe buzie dzieci, prowadzonych przez matki, niańki i bony. Gonił wzrokiem mknące tramwaje, doróżki, automobile; zatrzymywał się przed wystawami sklepów, wsłuchiwał się w krzykliwe głosy młodocianych przekupniów, sprzedających kwiaty i dzienniki.

Olbrzymie jaskrawe afisze zapraszają chętnych na widowiska kinematograficzne, zapowiadając im sensacyjne dramaty, wielce „komiczne” komedye i obok tego „najnowsze zdjęcia wojenne”. Skromniejsze plakaty donoszą o przedstawieniach teatralnych, koncertach, rozmaitych porankach muzycznych i literackich i innych zwykłych rozrywkach wielkomięjskich.

Gdziekolwiek przez szybę spojrzeć do kawiarni, pełno gości — ulicą płyną tłumy...

Wciąż się nic nie zmieniło...

Krzycki miał jeszcze w duszy straszliwy obraz grozy wojennej, czuł jeszcze tchnienie śmierci wokół siebie i dziwił się, choć zdrowy rozsądek mówił mu, że dziwić się niema czemu...

A jednak nie mógł opanować wyobraźni, aby mu chwilami oczu nie przysłaniała krwawa mgła i aby mu wśród hałasu ulicy, krzykliwych nawoływań przekupniów, szelestu sukni kobiecych nie zabrzmiwały w uszach inne głosy:

— Jezus Maryja!

— Ratunku!

— Sanitet!

— Tu do mnie! — odbijało mu się echem w pamięci.

Huragan dziejowy zda się wstrząsa ziemią tak, że drży w posadach, a życie przecież idzie swoją drogą...

Nic się nie zmienia.

Ból, cierpienie, tragedye, które przecież być muszą, chowają się skromnie po kątach, w zaciszu domowym, a życie wielkomięjskie jednako pieni się i szumi...

Krzycki usiłował otrząsnąć się z tych myśli. —

Chciał się rozerwać, rozweselić, porozmawiać z kimś i pilnie upatrywał wśród przechodniów jakiejś znajomej polskiej twarzy... Smutno mu było tak samemu błądzić po ulicach Pragi.

Otarł się o niego jakiś żyd z rudymi pejsami, w brudnym chałacie.

Krzycki, który i z wrodzonych upodobań i z przekonania był raczej antysemitą, uśmiechnął się mimowoli przyjaźnie do żyda. Ten charakterystyczny chałat wydał mu się jakby przypomnieniem czegoś bliskiego.

Krzycki poszedł dalej. — Uwagę jego zwróciła młoda kobieta, prowadząca za rączki dwoje dzieci w zakopiańskich guńkach.

— Mamusiu — prosił chłopczyk — kup balon.

— Zosia tys chce balon — popierała go maleńka siostrzyczka.

— Nie można, dzieci — odpowiedziała matka — mamusia niema pieniędzy, bo tatuś na wojnie...

— Mamusiu, a jak tatuś wróci z wojny i my pojedziemy do domu, to dostanę balon — taki czerwony?

— Celwony — wtóruje dziewczynka.

— A przecież coś się zmieniło — przemknęło przez myśl Krzyckiemu.

Kupiłby chętnie dzieciom balon, ale boi się, że mógłby obrazić matkę.

Mija więc i idzie dalej.

— Widzisz Jasiu — filozofuje sam ze sobą Krzycki — wojna zmienia jednak pewne rzeczy i ciebie zdaje się dyabelnie zmieniała... Ani przypuszczałeś, że w tobie drzemiały takie skarby sentymentalizmu... Hej, jak to powiedział w jednej ze swoich piosenek Boy: „Czy nie znaczy to przypadkiem, że mi czas już zostać dziadkiem...”

W tej chwili przerwała Krzyckiemu dalszy bieg myśli jakaś uśmiechnięta „holka” czeska. Trąciła go łokciem, zajrzała mu w oczy i rzekła:

— Heski wojak...

Krzycki wzruszył ramionami i na zaczepkę nie odpowiedział. Nie miał ochoty zawierać tego rodzaju ulicznych znajomości.

Wszedł do jakiejś kawiarni, usiadł przy oknie, kazał sobie podać białą kawę i polskie dzienniki.

Nie mógł jednak czytać uważnie, własne jego myśli płątały mu ustawicznie tok rozważań i informacji gazeciarskich... Odłożył gazety i spoglądał na ulicę.

Za wielką kawiarnianą szybą przesunęła się smukła, kształtna postać młodego mężczyzny, który spostrzegłszy Krzyckiego, grzecznie uchylił kapelusza.

Krzycki nklon oddał, ale brwi zmarszczył, jakby jakąś nagłą przykrością dotknięty. Poznał Montwiłła, który się zgłosił do niego do szpitala po wiadomości o Walczaku.

— To jest więc prawdopodobny następca biednego Kazika... Już to kobiety zawsze są sprytnie i praktyczne! Wybrała sobie na powiernika i przyjaciela ślicznego chłopca, aby w razie potrzeby mógł być także pocieszycielem... A Kazik idealizował ją... No! On zawsze był łatwowierny i nie znał kobiet... A one są wszystkie jednakowe...

Przypomniał sobie coś, zastanowił się chwilę i zadał sobie pytanie: czy wszystkie?

Nie chciał myśleć o tem.

W tej chwili spostrzegł, że siedzący przy sąsiednim stoliku młodzieniec uparcie wpatruje się w niego.

Krzyckiemu twarz ta wydawała się znajomą, sięgnął myślą we wspomnienia, ale nie mógł przypomnieć sobie, gdzie i kiedy poznał tego człowieka i kto to jest.

Młodzieniec pochylił się w stronę Krzyckiego i uklonił się.

Krzycki skinął głową.

Wówczas młodzieniec wstał, podszedł i zapytał:

— Jeżeli się nie mylę, pan Jan Krzycki?

— Tak jest, ale z kim mam przyjemność?

— Jako, nie poznać mnie?! Sliwowski jestem.

— Aha! Józek Sliwowski, mały Józio... No, rzeczywiście trudno poznać, bo z małego Józia wyrósł tegi chłop pod wąsem...

— A ja was poznałem odrazu...

Krzycki ucieszył się szczerze z tego spotkania. Józka Sliwowskiego znał jeszcze z gimnazjum, jako młodszego o kilka lat kolegę.

— Cóż wy tutaj w Pradze porabiacie? — pytał Krzycki, kiedy Józek przysiadł się do jego stolika.

— Ano „wywakuowałem” się i uczęszczam obecnie na uniwersytet w Pradze...

— I jeszcze w cywilu?

— Jak widzicie, ale wy złożyliście już daninę Bellonie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)